

Renata Lis

„LESBOS I ŁĄCZKA”

Tekst powstał w ramach przygotowań do Forum Przyszłości Kultury 2017 (18–19 listopada w Teatrze Powszechnym w Warszawie). FPK to przestrzeń dialogu i dyskusji na temat perspektyw rozwoju kultury we współczesnej Polsce. Program Forum to spotkania z udziałem ruchów obywatelskich, debaty, spektakle i pokazy oddolnych inicjatyw kulturalnych. Kontekstem dla prac Forum są scenariusze dotyczące przyszłości kultury, napisane przez wybitnych humanistów, a także cykl debat organizowanych w całej Polsce. Więcej informacji na stronie: www.forumprzyszloscikultury.pl.

PO KATASTROFIE

„Nic nie zaczyna się (...) w konkretnym czasie i konkretnym miejscu. Wszystko zaczęło się w wielu miejscach i w wielu czasach, po części nawet zanim się urodziłeś, w obcych krajach, i w świadomościach innych” – rozmyśla Dymitr Szostakowicz w powieści Juliana Barnesesa „Zgiełk czasu”¹, czekając na aresztowanie. Warto mieć te słowa w tyle głowy, gdy zamierza się wypowiedzieć zdanie, które teraz wypowiem: przyszłość zaczyna się teraz, to tutaj tkwią jej korzenie. Nie sposób myśleć o przyszłości bez uświadomienia sobie, gdzie się znajdujemy.

Forum Przyszłości Kultury odbywa się po katastrofie: dwa lata po wyborczym zwycięstwie sił populistyczno-narodowo-katolickich (PNK) i po dwóch latach hybrydowej rewolucji, która lubi się wyżywać w polityce kulturalnej (dlatego, że to ważne, ale też dlatego, że łatwe – znacznie łatwiejsze niż głębokie zmiany społeczne). Na horyzoncie nie widać przesłanek, które dawałyby nadzieję na zatrzymanie procesu: buldożer ustrojony w biało-czerwoną flagę, katolicki krzyż i symbole ONR-u będzie jechał dalej wśród dymu rac i kibolskich okrzyków, a skutki rewolucji będą utrwały się w czasie. Zwycięstwo sił PNK wyrosło bowiem z zaniedbań i błędów w dziedzinie polityki społecznej i kulturalnej, które podkopały zaufanie do demokracji wśród nieuprzywilejowanych, tymczasem główne siły opozycyjne wciąż nie potrafią tego faktu nie tylko przepracować, ale często nawet zauważyć.

Społeczne deficyty i zmartwienia przez lata pozostawały bez odpowiedzi, ponieważ systemowe założenie było takie, że po transformacji każdy ma radzić sobie sam i każdy jest sam sobie winien. Taką politykę prowadziła w przeszłości również partia obecnie znów rządząca, jednak to ona pierwsza dostrzegła potencjał społecznego i symbolicznego wykluczenia, a następnie zajęła się tego potencjału pompowaniem. Wskazała też winnego: liberalno-lewicowe elity i polityczny establishment, z którego sprytnie usunęła siebie. I choć jest oczywiste, że na realne problemy partia ta nie daje odpowiedzi prawdziwie uzdrawiającej ani w sferze społecznej, ani w sferze symbolicznej, to z jej politycznych posunięć na obu tych polach wielu czerpie ulgę na tyle głęboką, że kolejna kadencja lub kadencje dla Prawa i Sprawiedliwości wydają się przesądzone.

W jakimś sensie jest więc za późno. Nasze dyskusje będziemy toczyć – *excusez-moi le mot* – z ręką w nocniku. Jednak nawet w tak niekomfortowej sytuacji toczyć je musimy, bo stawka jest najwyższa: gra toczy się o samo istnienie polskiej wspólnoty kulturowej. Wspólnota ta istnieć wcale nie musi – jeśli przestaniemy jej potrzebować i o nią zabiegać, pewnego dnia trwale się rozpadnie i nie będzie już powrotu.

¹ W przekładzie Dominiki Lewandowskiej-Rodak.

WYGNANI

Nie pomylę się pewnie bardzo, jeśli powiem, że wszyscy tutaj czujemy się – do pewnego stopnia – jak wygnańcy, a przynajmniej jak ludzie, których bardzo chce się w takiej pozycji ustawić. Jesteśmy twórcami i uczestnikami kultury, których rewolucja PNK próbuje pozostawić za burtą – jednych dlatego, że od początku nie chcieli przykładać do niej ręki, innych dlatego, że wprawdzie dopuszczali możliwość współdziałania, ale prędko zrozumieli, że inaczej wyobrażali sobie zmianę: jako proces mądrego równoważenia, a nie nową i w dodatku o wiele bardziej agresywną tendencyjność. Rewolucja PNK wszelkimi sposobami daje nam odczuć, że jesteśmy kulturowymi przybłędami i że ojczyzna nas nie potrzebuje, a nasze miejsce – Władimir Iljicz skubie swoją rudą bródkę – jest na śmietniku historii. Z rozmysłem wykoślawia i zożydza liberalno-lewicową agendę oraz związaną z nią wrażliwość, przeciwstawiając je formacji narodowo-katolickiej na zasadzie albo-albo. Co nie mieści się w ideowo-estetycznych ramach PNK, jakoby nie należy do polskiej kultury i musi zostać z niej wypchnięte.

Notuję te myśli jako autorka swoich książek. Kiedy dwa lata temu rozpoczynałam pracę nad ostatnią z nich, „Lesbos”, ja też czułam się jak ktoś, z kogo próbuje się zrobić wyrzutka, kogo z piętnem na czole wypędza się z domu i zakazuje powrotu. Sprawił to język, który – dzięki błogosławieństwu nowej władzy i często za sprawą jej przedstawicieli – błyskawicznie zdominował przestrzeń publiczną: język nienawiści i wykluczenia, pogardy dla mniejszości i odmienności, supremacji białych, heteroseksualnych katolików o etnicznie czystych korzeniach (najczęściej urojonych) ze wszystkich klas społecznych, od prostego kibola aż do profesora i poety, którzy nareszcie mogli zrzucić maski i napluć na to, co jest kulturą społecznego współżycia, a co oni nazywają terrorem politycznej poprawności. Żenujące żarty o „judeosceptycyzmie” czy „marksizmie-lesbianizmie” przesunęły się z marginesu do centrum. W jednym z kanałów telewizji publicznej występuje pseudoekspert, który uczestniczki społecznego protestu podsumowuje pytaniem: „Kto to rucho?”. Rynsztok płynie frontowymi drzwiami. Cuchnie.

Na okładce mojej „Lesbos” wydawca napisał:

„*Lesbos* jest wyspą wolności. Autorka buduje ze słów przestrzeń, w której o miłości kobiet można mówić w sposób w pełni niepodległy. Jej książka to arka na czas potopu i jednocześnie projekt na lepszą przyszłość: ręka wyciągnięta do potrzebujących i list w butelce”.

W tej nocy, którą współtworzyłam, znalazło się wszystko, czego nagle w dwójnasób zabrakło mi w zewnętrznym świecie: poczucie wolności, niepodległość sztuki, społeczna więź. Widać tu także zamiar rozpaczliwie utopijny – postanowiłam stworzyć sobie świat (bo język to świat), w którym sama będę w stanie żyć, a następnie ofiarować go współwyspańcom. Świat ten przybrał formę wyspy – wyspy miłości i pieśni, indywidualizmu i sztuki swobodnie przekraczającej wszystkie granice: państw, języków, epok, klas i płci. Wyspy Lesbos.

Dzisiaj myślę, że jeżeli mamy żyć na wyspach – a mnie samej trudno by było żyć inaczej – to wyspy te powinny tworzyć dobrze skomunikowany archipelag. Ważne jest, żebyśmy nie ratowali się z opresji PNK w pojedynkę – warto połączyć wysiłki, rozmawiać o środkach i celach, wspólnie projektować symboliczną przestrzeń, w której żyć będziemy w stanie wszyscy. Czyli – projektować przyszłość kultury. Bo to w kulturze w pierwszym rzędzie żyjemy, a nie w państwie, które – jak uczy m.in. historia Polski – raz jest, a raz go nie ma. Żyjemy w niej jako „zwierzęta symboliczne” wedle określenia Ernsta Cassirera. Kultura od swego zarania należy do człowieka, który jej potrzebuje i ją wytwarza, a nie do państwa, które co najwyżej używa jej do swoich celów. Nie da się posiadać kultury inaczej, niż używając jej zgodnie z jej naturą i przeznaczeniem, nie da się więc również kultury zawłaszczyć. Trzeba to wyraźnie zobaczyć: piraci, którzy opanowali okręt polskiej kultury, są złudzeniem. Trzeba rozbić iluzję, że państwo posiada kulturę.

INTERLUDIUM: ONI

Rzecz kłopotliwa i nieprzyjemna, o której stale musimy pamiętać, mimo że z chęcią byśmy o niej zapomnieli: kultura przyszłości nie może być kulturą tylko „dla nas”, nie może być naszą strefą bezpieczeństwa i tożsamościowej afirmacji, ale musi być też – jednocześnie – kulturą „dla nich”. Mówiąc umownie i z konieczności upraszczając (bo ani my nie jesteśmy monolitem, ani oni nim nie są – istnieje wiele podziałów, które przebiegają wewnątrz i w poprzek naszych „obozów”): „my z Lesbos” i „tamci z Łączki”, obrońcy wolności jednostki i stróże kwatery „Ł” na warszawskich Powązkach, musimy poczuć się aspektami jednej kultury. Musimy pokonywać radykalną obcość i wrogość, jaka rozciąga się między naszymi wyspami, musimy nawiązywać komunikację i żywić nadzieję, że mostów z czasem będzie przybywało, choćby miały nam służyć do toczenia nierozstrzygalnych sporów. Jest to zadanie niewyobrażalnie trudne z wielu powodów, których niemała część leży po stronie „tamtych z Łączki” (choćby katolicki fundamentalizm), i nie jestem pewna, czy w ogóle wykonalne, zwłaszcza że wymagałoby wspólnego wysiłku. Ucieknę przed nim jeszcze na chwilę i wrócę do rewolucji.

HYBRYDA

Rewolucję – czy może ściślej: kontrrewolucję – z jaką mamy do czynienia w Polsce, nazwałam rewolucją hybrydową. Określenie to nawiązuje z jednej strony do pojęcia wojny hybrydowej, z drugiej – do pojęcia hybrydowej demokracji.

Z hybrydową wojną łączy rewolucję PNK to, że żadna z osób pełniących najważniejsze funkcje w państwie nigdy nie przyznała, że przeprowadza rewolucję, a więc zmianę o charakterze przemocowym, możliwą wyłącznie dzięki zawieszeniu obowiązującego prawa. Mimo rewolucyjnych deklaracji publicystów i polityków, jakie pojawiają się w prorządowych mediach, rząd utrzymuje, że zmiany ustrojowe, jakie przeprowadza z naruszeniem Konstytucji i bez dostatecznej legitymizacji, mieszczą się w granicach prawa i uzyskanego mandatu.

Jeśli idzie o hybrydową demokrację, skupię się na jej imitacyjnym charakterze i sposobie, w jaki hybrydowe reżimy używają przemocy. Zjawisku temu wiele uwagi poświęciła m.in. rosyjska politolożka Jekaterina Szulman, która znajduje się w uprzywilejowanej pozycji – ma bezpośredni dostęp do przedmiotu swoich badań, ponieważ to właśnie putinowska Rosja z jej „suwerenną demokracją” jest najdoskonalszym przykładem nowego antyliberalnego ustroju, w literaturze przedmiotu nazywanego też demokracją nieliberalną, demokracją imitacyjną, autorytaryzmem elekcyjnym, czy autokracją bez tyranii. Mnogość określeń wskazuje na płynność zjawiska, które dopiero się kształtuje. Wiadomo, że od Władimira Putina uczy się Victor Orbán, od Orbána zaś – Jarosław Kaczyński, i choć dałoby się wskazać istotne różnice zarówno między tymi trzema przywódcami, jak i między rządzonymi przez nich państwami, to przecież wszystkie trzy piranie pływają w tym samym akwarium.

„Naturę reżimów hybrydowych – pisała Szulman w głośnym tekście *Królestwo politycznej imitacji*² – warto rozumieć chociażby po to, aby uniknąć narzucających się historycznych analogii i nie tracić czasu na oczekiwanie, że za oknem nastanie faszyzm lub wzejdzie zorza sowietyzmu”. To wskazówka dla nas – rewolucja PNK nie jest powrotem do przeszłości, nie zwiastuje odrodzenia się faszyzmu ani stalinizmu: jest współczesną mutacją autorytaryzmu, która imituje dawne jego formy. *Symuluje*, by sięgnąć po termin z intelektualnego instrumentarium Jeana Baudrillarda, przy czym symulacja obejmuje zarówno przejawy państwowej przemocy, jak i procedury demokratyczne. Te ostatnie w hybrydowej demokracji stają się wydmuszką i pełnią funkcję dekoracyjną, bo władza i tak nigdy się nie zmienia. Charakterystyczne, że nawet

² W przekładzie moim – R. L.

w Rosji niezmiennosc władzy nie wymaga fałszerstw wyborczych – jest skutkiem funkcjonowania systemu. Na Węgrzech i w Polsce kwestia możliwości odwołania władzy w drodze wyborów powszechnych wydaje się jeszcze otwarta – oba środkowoeuropejskie reżimy hybrydowe znajdują się na dość wczesnym (choć różnym) etapie rozwoju, mimo że w obu daje się zauważyć silna tendencja do utożsamiania demokracji z dyktaturą większości, co *de facto* zmienia demokratyczne procedury w fasadę.

„Reżim hybrydowy – zauważa Szulman – ma charakter dwustronnie imitacyjny. Nie tylko symuluje demokrację, której nie ma, ale też przedstawia sobą dyktaturę, która w rzeczywistości nie istnieje. (...) stara się wykonać swoje główne zadanie – zapewnić niezmiennosc władzy – za cenę względnie niskiego poziomu przemocy. Nie dysponuje ani moralnym kapitałem monarchii, ani aparatem represji totalitaryzmu”. Charakterystykę tę można odnieść zarówno do całokształtu rządów tzw. dobrej zmiany, jak i zawęzić do polityki kulturalnej, która także stara się osiągnąć swój cel „za cenę względnie niskiego poziomu przemocy”. Pojawiające się co pewien czas w niezależnych od rządu mediach i prywatnych rozmowach porównania obecnej sytuacji w kulturze do czasów stalinowskich (skądinąd oparte na zrozumiałych skojarzeniach) są więc o tyle niedokładne, że wyrzucani z pracy z przyczyn ideologicznych dyrektorzy teatrów, dziennikarze, piosenkarze i aktorzy nie trafiają dzisiaj w Polsce do aresztów ani do łagrów, nikt ich też nie rozstrzeliwuje, podobnie jak pisarzy i artystów pozbawionych szans na państwowe dotacje czy stypendia. Wszystkie te osoby mogą funkcjonować poza państwowym obiegiem, ponieważ obieg pozapaństwowy istnieje i nie został zdelegalizowany. Jeśli więc mamy do czynienia z jakąś formą stalinizmu, to jest to raczej stalinizm bezzębny, czyli właśnie – imitacyjny. To *simulacrum* stalinizmu, które ma nas trochę postraszyć i osłabić, ale nie zabić. Sądzę, że wiemy, a przynajmniej czujemy to wszyscy – czy nie dlatego podpalenie się pana Piotra S. przed Pałacem Kultury i Nauki w Warszawie rozplynęło się w zagadkowej ciszy? Pan Piotr odpowiedział na imitację autorytaryzmu gestem z epoki twardych totalitaryzmów – gestem Jana Palacha i Ryszarda Siwca. Jego epistemologiczna „pomyłka” polegała na tym, że protestując przeciwko symulacji, podpalił swoje prawdziwe ciało, imitacji przeciwstawił rzeczywisty ból.

Nieobecność przemocy na skalę totalitarną zmienia bardzo wiele – zmasowany terror, jak przypomina choćby Barnes w „Zgiełku czasu”, wytrąca z ręki każdą broń i kruszy każdego, niezależnie od obranej strategii przetrwania. Nie znaczy to bynajmniej, że za brak tego rodzaju przemocy powinniśmy być komuś wdzięczni – w XXI wieku przemoc znacząco przybladła, ponieważ po drugiej wojnie światowej nietolerancja na nią w Europie ogromnie wzrosła, a ponadto w hybrydowej demokracji nie ma powodu sięgać po środki tak skrajne, skoro – jak pokazuje przykład Rosji i Węgier – środowiska niezależne da się zmarginalizować na tyle skutecznie, żeby nie miały wpływu na proces utrwalania się władzy. Głos tych środowisk, choć nie do końca stłumiony (co przydaje się w propagandzie, zwłaszcza tej na użytek zewnętrzny), nie jest słyszalny poza określoną niszą i niczego nie zmienia.

REJS...

Nie oznacza to jednak, że porównanie z Rosją stalinowską jest całkowicie nieefektywne literacko. Polska rewolucja kulturalna strukturalnie przypomina przecież politykę kulturalną stalinowskiej Rosji, której symbolicznym skrótem mógłby stać się osławiony rejs pisarzy po Kanale Białomorskim.

Makabryczną tę wycieczkę za wiedzą Stalina zorganizowało w 1933 roku GPU, zapraszając na pokład statku „Anochin” grupę prawomyślnych literatów. Od pisarzy oczekiwano, że zobaczą i opiszą to, co zobaczyć i opisać powinni, a oni byli gotowi zrealizować propagandowe zamówienie, to jest zamknąć oczy na prawdę i widzieć tylko to, co widzieć należy, a także cieszyć się sowitą gratyfikacją w warunkach, które niejednemu odebrałyby nie tylko apetyt, ale i chęć do życia. Wszystko to dla dobra ojczyzny i na pohybel wrogom ludu, w wielu przypadkach zapewne szczerze. Sromota tamtego rejsu nie wywietrzała do dzisiaj,

skoro wszelkie jego ślady nadal zaciera się w biografjach pisarzy-uczestników i trzeba wiele wysiłku, żeby się dowiedzieć, kto płynął wtedy między barakami z kieliszkiem szampana w dłoni.

Polska kultura również ma teraz mieć – na kształt sowieckiego przedsięwzięcia – wyraźne centrum dowodzenia (w resorcie przy Krakowskim Przedmieściu) oraz komórkę superwizyjną (przy ulicy Nowogrodzkiej). Centrum dowodzenia w porozumieniu z komórką superwizyjną tworzy i finansuje państwowe zamówienia na dzieła o określonej tematyce i wymowie (patriotycznej w rozumieniu sił PNK) oraz wyraźnym potencjale propagandowym. Centrum profiluje regulaminy rozpisywanych przez siebie konkursów w taki sposób, aby warunki mogli spełnić wyłącznie twórcy o preferowanym światopoglądzie lub gotowi go zaakceptować dla korzyści materialnej, i sownie ich za to wynagradza (nakłady na kulturę, w tym na stypendia, znacząco wzrosły). Z regulaminów tych wynika pośrednio, że twórcy liczący na dofinansowanie państwa nie powinni dostrzegać zjawisk z punktu widzenia władzy niewygodnych – np. antysemickich ekscesów, jakich dopuszczali się Polacy w czasie drugiej wojny światowej i po niej, odmiennej orientacji uczuciowej prominentnych postaci polskiej kultury, czy pedofilii wśród księży. Tę listę można oczywiście wydłużyć, choć oficjalnego spisu tematów źle widzianych nikt nie ogłosił, bo i po co – to się wie samo przez się. Szepcze nam to do ucha mały pisiorek, którego każdy z nas ma w głowie i właśnie tak ma być – mamy się cenzurować sami.

... I „REJS”

Ale ponieważ żyjemy w świecie imitacji, rejs po Kanale trzeba przełamać „Rejsem” Marka Piwowskiego – dopiero wtedy powstanie monstrualna mieszanka komedii i grozy, zdolna wyrazić naszą rzeczywistość. Rewolucja PNK, przy całej swej szkodliwości, często przypomina przecież karykaturę, groteskę lub satyrę: po oczach bije tragikomiczny splot ignorancji z arogancją na wszystkich szczeblach oraz brak kadr. Jakoś nie widać genialnych twórców ani wielkich dzieł z kręgów PNK, a teza o wieloletniej politycznej dyskryminacji wybitnych artystów narodowo-katolickich dezawuuje się jako humbug. Nie doszło do erupcji rzekomo stłumionej energii, nie załała nas fala znakomitych dzieł, a filmy w rodzaju „Smoleńska” czy „Historii Roja”, tak jak nowsza twórczość Wojciecha Wencła, czy realizacja pomysłu na Stary Teatr bez Jana Kláty, okazują się kompromitacją. Odnosi się wrażenie, że pragnąc uwiarygodnić swoją narrację i zamaskować bezpłodność własnej wizji kultury, władza próbuje w pośpiechu sprokurować cokolwiek, co da się sprzedać jako „narodowe”.

Współczesne imitacje politruków mają ambicje obejmujące także naszą wspólną pamięć. Jakże charakterystyczne są ich doktrynerskie zapędy, kiedy próbują wyrugować z przestrzeni publicznej nazwisko Brunona Jasińskiego albo zatrzeć fakt ukraińskiego pochodzenia Anny Walentynowicz! Modelowanie pamięci w duchu PNK odbywa się nieodmiennie za pomocą redukcji, nacjonalizacji i instrumentalizacji. Polska pamięć ma być jednoznaczna i takie same mają być przypisane do niej wartości: zdrajca albo bohater, poeta polski albo „kacapski”, *tertium non datur*. Pamięć ta ma być również niezróżnicowana pod względem płci, rasy czy wyznania, a więc wolna od wewnętrznych konfliktów: jeśli Żyd, to taki, który czuł się Polakiem; jeśli ateista, to taki, który łaknął wiary; jeśli kobieta, to przystosowana do patriarchalnych reguł; jeśli gej czy lesbijka, to tak dyskretni, że do śmierci nikomu nie powiedzą. Brakuje przestrzeni na niejednoznaczność i złożoność, na wahania i komplikacje, na dramaty i konflikty, czyli na wszystko to, co składa się na prawdę życia. Centralnie sterowana kultura ma sprawić, by historia stała się zbiorem budujących przykładów, bajką o pięknych i dobrych Polakach, sentymentalną kołysanką.

Pytanie, czy bajka z morałem krzepi kogoś oprócz dziecka? „W świecie (...) pozbawionym ambiwalencji i niejasności (...) pojawia się narastające poczucie straty” – stwierdza Alastair Bonnett w

książce „Poza mapą”³, zwracając uwagę na nieusuwalną ludzką potrzebę zanurzenia się w tym, co niejasne i skomplikowane, dającą o sobie znać tym mocniej, im bardziej jednoznaczne staje się otoczenie. Tak samo kultura – nie będzie nas krzepić, jeżeli jej gładka powierzchnia to kłamstwo. Na krótką metę pozwoli stłumić niepokój, ten jednak, nieświadomy, będzie nas nurtował i tworzył niszczące napięcie. Kolejny raz stracimy szansę konfrontacji z rzeczywistością, znowu rozminiemy się z własną dojrzałością.

LESBOS I ŁĄCZKA

Jak zatem – wbrew rewolucji PNK – ocalić życiodajną niejednoznaczność kultury i zarazem nawiązać komunikację z „tymi z Łączki”? Jak budować przyszłość dla podzielonej społeczności? Niewątpliwie czeka nas praca u podstaw, długi marsz bez łatwych zwycięstw. Setki małych bitew o kulturę do wygrania lub przegrania, a na początku trudny pierwszy krok – wyjście poza obręb własnego matecznika, w którym czujemy się bezpiecznie i wsluchiwanie się także w cudze pieśni. Różne – nie tylko te dobiegające z Łączki. Bo sztuka – jak pisała Jeanette Winterson – oznacza więcej, nie mniej. Jej najważniejszym zadaniem nie jest potwierdzanie naszej tożsamości, tylko stałe jej kwestionowanie i rozszerzanie. Dlatego właśnie kultura może się stać platformą łączącą, przestrzenią spotkania i mediacji. W przestrzeni kultury łatwiej rozmawiać, zwłaszcza że taka rozmowa nie musi oznaczać bezpośredniej konfrontacji: na początku wystarczy czytać te same książki, oglądać te same spektakle, filmy i obrazy. Poznawać te same biografie.

Na przykład biografię Brunona Jasieńskiego – polskiego uczestnika rejsu po Kanale Białomorskim. Instytut Pamięci Narodowej podjął niedawno drugą próbę usunięcia tego awangardowego poety z przestrzeni publicznej – w optyce samowolnych stróżów naszej pamięci nazwisko Jasieńskiego w nazwie ulicy miałyby oznaczać propagowanie komunizmu i niemal zbrodnię przeciwko narodowi polskiemu. Stanowisko Instytutu uzasadnia udostępniony w sieci preparat biografii Jasieńskiego, przedstawiający go jako sowieckiego aparatczyka. Po stronie PNK mamy więc: tendencyjność, uproszczenie i przekreślenie wartości sztuki na rzecz inkwizytorsko traktowanej biografii artysty. Jednak obrońcy obecności Jasieńskiego także ułatwiają sobie zadanie ponad miarę: dla nich z kolei sztuka jest wszystkim, a biografia niczym, nawołują więc, aby biografię artysty puścić w niepamięć i skupić się na dziełach.

Ta modelowa sytuacja przypomina wewnętrzny rozbiór Polski: ze wspólnego dobra, jakim jest Bruno Jasieński, oni biorą życie, my twórczość, i każdy wlecze tę swoją połowę w inną stronę. Człowiek z kręgów mentalnie bliższych IPN-owi (człowiek z Łączki) nie potrafi docenić artysty, którego niejednoznaczne życie tak wielkodusznie puszczają w niepamięć ludzie z Lesbos. I *vice versa*: człowiek o mentalności wolnościowej (człowiek z Lesbos) nie chce się wgłębiać w trudną biografię Jasieńskiego, skoro ludzie z Łączki używają jej jako maczugi przeciwko twórcy. Co więc robić? Na początku każda ze stron mogłaby oświetlić zacienioną drugą połowę problemu: ludzie z Łączki musieliby zrobić wysiłek i przyznać, że „Pieśń o głodzie” jest utworem wyjątkowym i wartościowym; ludzie z Lesbos musieliby zrobić wysiłek i przyznać, że niektórych zachowań Jasieńskiego w Rosji nie da się usprawiedliwić i że budzą one zgrozę w każdym przyzwoitym człowieku. Dzięki temu postać Jasieńskiego na powrót scalałaby się we wspólnej pamięci, a wtedy obie strony mogłyby się ewentualnie zgodzić, że nazwisko poety nie musi zniknąć z nazw ulic.

Sądzę, że w takim kierunku należałoby dążyć – zbliżając do siebie przeciwstawne stanowiska, choćby część wspólna miała się czasem sprowadzać do jednego punktu. Zbliżając do siebie Łączkę i Lesbos, wytrwale kopiąc tunel od jednej do drugiej i czekając na cud.

Albo na Godota. Nie ukrywam, że we mnie samej taka perspektywa nie budzi entuzjazmu. Dyskusje z ludźmi z Łączki na temat związków partnerskich, prawa wyboru w sprawie aborcji czy akcji #metoo, jakich

³ W przekładzie Jacka Żuławnika.

wiele odbyłam na Facebooku, przyniosły mi doświadczenia niemal wyłącznie negatywne, a czasem też raniące, najchętniej więc bym tego zbliżania się uniknęła.

Zdaje się jednak, że jako żywa całość mówiąca tym samym językiem nie mamy innego wyjścia: musimy próbować ze sobą rozmawiać. Po to, żeby ktoś mógł kiedyś powiedzieć: „Nic nie kończy się (...) w konkretnym czasie i konkretnym miejscu. Wszystko kończyło się w wielu miejscach i w wielu czasach, po części nawet zanim się urodziłeś”.

Renata Lis (ur. 1970) – pisarka i tłumaczka. Za debiutancką książkę „Ręka Flauberta” (2011) otrzymała m.in. nominację do Nagrody Literackiej Nike i Nagrody Literackiej m.st. Warszawy. Przetłumaczyła z rosyjskiego zbiór próz Iwana Bunina pt. „Późna godzina. Opowiadania emigracyjne” i „Nieszczęsne dni” (2013), a także dwie z „Trzech baśni” Flauberta (2009). Za przekład eseju „Ameryka” Jeana Baudrillarda otrzymała wyróżnienie Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich (1998). Jej książka pt. „W łodach Prowansji. Bunin na wygnaniu” (2015) znalazła się w finale Nagrody Literackiej Nike i półfinale Nagrody Literackiej Europy Środkowej Angelus; otrzymała też nominacje do Nagrody Literackiej Gdynia, Nagrody Literackiej m.st. Warszawy i Nagrody Literackiej dla Autorki Gryfia.